

Manieli Gretkowskiej "Na linii świata", czyli... czyli co to k*** jest?!

Odgrażałam się, że przeczytam całą książkę "Na linii świata" Manieli Gretkowskiej, ale nie daję rady, no, nie daję. Czuję się, jakbym miała wysłuchać całego koncertu Florence Foster Jenkins znanej jako "najgorsza śpiewaczka świata", a przecież wystarczy kilka pierwszych treli, żeby wiedzieć, że ta kobieta nie umie śpiewać i że tego się nie da słuchać. Dokładnie to samo mogę powiedzieć o Manieli Gretkowskiej: ta kobieta nie umie pisać i tego się nie da czytać. Niniejszym ogłaszam ją "najgorszą pisarką świata" i robię to z pełną świadomością. Trudno. I przykro mi, że muszę to stwierdzić, i czas najwyższy, żeby wreszcie ktoś to powiedział.

Oczywiście z pewnością jest niepoliczalnie wiele ludzi gorzej śpiewających niż Miss Jenkins, ale ci po prostu nie śpiewają. Tak jak z pewnością jest wielu gorzej piszących, niż panna Gretkowska, ale oni po prostu nie piszą. Florence Jenkins znana jest z takiej wypowiedzi: *"Ludzie mogą mówić, że nie potrafię śpiewać. Ale nikt nie może nigdy powiedzieć, że nie śpiewałam"*. Otóż to samo mogłaby powiedzieć o sobie Manuela Gretkowska: *"Ludzie mogą mówić, że nie potrafię pisać. Ale nikt nie może nigdy powiedzieć, że nie pisałam"*.

Bo tak się zastanawiam, jak właściwie doszło do tego, że Manuela Gretkowska zrobiła tak, było nie było, błyskotliwą karierę, i dochodzę do wniosku, że na podobnej zasadzie, jak Florence Jenkins. Tym, czym dla Jenkins była odziedziczona po ojcu fortuna, którą mogła sobie opłacić karierę śpiewaczki, tym dla Gretkowskiej było odziedziczenie szczególnej urody po rodzicach - była i nadal jest bardzo ładna - w kombinacji z wyjątkowym zupełnie wyszczekaniem zwłaszcza na tematy uchodzące powszechnie za takie, o których "się w towarzystwie nie mówi", popartym glejtem na mówienie, studiami filozofii na UJ. Po prostu dziewczyna miała gadane i żadnych zahamowań, to podbija.

A potem poszło po szczęśliwych - lub nieszczęśliwych, zależy jak patrzeć - przypadkach. Wyjechawszy do Francji trafia do Maisons-Laffitte. Tam dostaje fuchę polegającą na czytaniu ślepnącemu pod koniec życia Józefowi Czapskiemu prasę (dziś w jej CV nazywa się to, że była "asystentką Czapskiego", no, dobra, "mów pan, asystentką"). Kręcąc się wśród ludzi pióra zapragnęła sama zostać pisarką. Czesław Miłosz ujęty pewnie bardziej jej młodością i urodą, niż pisaniem, pisze jej pozytywną opinię i... po---szło-----.

A, jeszcze i związek z Andrzejem Żuławskim! Kto chce, niech przeczyta "Trans", a dowie się, jak wyglądał z perspektywy kochanki i czasu. Nawiasem, na początku lat 90. Żuławski wydał książkę "Lity bór" (1991). Przeczytałam ją i bodaj bym jej nie czytała! To było najgorsze, co w moim długim już i wtedy czytelnicznym życiu czytałam. Resztę aż po głośny "Nocnik" - zwłaszcza "Nocnik" - omijałam. Może mnie coś i ominęło, ale sądząc po felietonach Żuławskiego w kobiecej prasie, które czasami zmęczyłam, to i lepiej, że ominęło.

Widzę w Wikipedii, że związek Żuławskiego z Gretkowską, mimo że umocowany w literaturze "Transem", został pominięty, jakby go nie było, jedynie fakt, że współpracowali razem przy filmie "Szamanka" odnotowany (MG była autorką scenariusza). Ciekawa jestem, jak poradzi sobie z tym zagadnieniem autorka biografii Żuławskiego Aleksandra Szarłat mającej się wkrótce ukazać? Ciekawa jestem, więc przeczytam, przynajmniej tak sobie obiecuję.

Jak czytałam i odbierałam kolejne książki Manuelei Gretkowskiej, opisałam w obszernej recenzji, eseju właściwie, "Poetki i księcia", nie będę się więc powtarzać. Teraz, zatem nie po kolei, padło na "Na linii świata". Nie wszystkie były tak dramatycznie złe, jak "Na linii świata", a już wywiad-rzeka "Trudno z miłości się podnieść" (2019, z Gretkowską rozmawiała Patrycja Pustkowiak), zdecydowanie ciekawy, stąd *facit*: Gretkowska mówiąca od siebie o sobie jest osobowością ciekawą, a już na pewno fenomenem jedynym w swoim rodzaju - jak Florence Jenkins, o której nawet bardzo dobry film zrobiono z, fakt, fenomenalną Meryl Streep do pary z Hugh Grantem ("Boska Florence", 2016), oraz sztukę teatralną napisano ("Boska!" Petera Quiltera, 2005), w Polsce zagraną przez Krystynę Jandę w roli Jenkins (sztuki akurat nie widziałam, ale nie wątpię, że i sztuka, i Janda, warte są siebie).

I druga część *facit*: Gretkowska powieści pisać nie umie! Za Boga! "Na linii świata" czytam tuż po "Serotoninie" Houellebecqa, niejako w pakiecie. Na okładce książki czytam reklamę-zachętę: *"Nasz świat obraca się przeciwko nam. We Francji przeczuwa to Houellebecq. W Anglii nakręcono 'Black Mirror', w Stanach - 'Westworld'. W Polsce Manuela Gretkowska jako pierwsza odważyła się napisać, co stanie się za linią świata, który znamy"*. Obawiam się, że mogę nie doczytać, ponieważ już kilkakrotnie miałam ochotę wyrzucić książkę przez okno. Jeśli tego nie robię, to tylko dlatego, że nie należy zaśmiecać świata. Poza tym że nie powinno się wycinać drzew na marne książki.

A wracając do Houellebecqa, być może największego współczesnego pisarza, a na pewno jednego z największych w skali światowej (uwielbiam go czytać!): Houellebecq jest fenomenalny. Gretkowska jest fenomenem. I to jest ta różnica. Albo inaczej, choć tu już jestem złośliwa: jaki kraj, taki prorok. Wścieka mnie, że coś takiego napisałam. Na całe szczęście jest i Pilcha "Żywego ducha". Jest też "Solaris" Lema, do którego to genialnego dzieła SF ktoś z życzliwszych recenzentów/recenzentek porównał "Na linii świata", ale porównanie chyba, *pardonnez-moi*, z dupy strony!

Jeszcze raz: książka "Na linii świata" jest przede wszystkim niemożliwie nudna, kompletnie niespójna, naszpikowana wulgaryzmami i obrzydliwstwami bez uzasadnienia i opamiętania... tu znowu w opozycji do Houellebecqa, który opisuje współczesnym językiem seks, wprost i *à rebours*: *"Marcel Proust /.../ potrzebuje miłostek z 'zakwitającymi dziewczętami'. Na obecnym etapie wzmożenia bardzo bym chciał zamienić 'zakwitające dziewczęta' na 'wilgotne młode cipki'"* (Marcela Prousta przetłumaczył Jullian Rogoziński, Houellebecqa Beata Geppert).

Kiedyś pieniądze i spiętrzenie różnych nieszczęsnych - jednak nieszczęsnych! - przypadków w połączeniu z kochającym (kaske?) mężem, pochlebami i tymi wszystkimi, którym słoń nadepnął na uszy, więc bezmyślnie powtarzających "tak, tak, jak ona pięknie śpiewa", zrobiło z kiepskiej śpiewaczki pośmiewisko i tak trafiła do historii po wsze czasy, teraz wydawnictwo (Znak, niestety zresztą) wsadza pisarkę na minę i licząc na zysk "bo znane nazwisko, więc się sprzeda", wydaje książkę, o której muszę napisać: rzadki chłam. I aż mi niemiło.

Ale cóż, skoro redakcja książki przepuściła nawet takie kwiatki, jak ten poniżej? Bo w zasadzie wiemy to wszyscy, dlaczego w samolocie w przypadku zagrożenia najpierw maskę tlenową zakłada rodzic (osoba dorosła, opiekun/ka), a następnie rodzic pomaga założyć dziecku maskę... I w sensie konkretnym i metaforycznym. A teraz przeczytajcie, co na ten temat znajduję w książce Gretkowskiej. Pisarka postuluje mianowicie, że w Dekalogu powinno być przykazanie: *"Czcij dziecko swoje"*. Czyli na razie dobrze. Po czym pisze tak: *"Czczenie ojca i matki słusznie jest dużo dalej, pozycja czwarta. Dzieciak będzie kiedyś ojcem i albo matką i trzeba o niego zadbać. Odwrotnie niż w samolocie, gdy w razie alarmu maskę tlenową najpierw zakłada dorosły, potem pomaga ją włożyć dziecku. Życie*

nie jest katastrofą, ciągle nie spadamy". Może życie nie, ale książka jest katastrofą a jej autorka, owszem, spadła na dno.

PS. Zdaję sobie sprawę, że to jest straszne, co napisałam. I nie czuję się z tym dobrze. Ale zdania już nie zmienię. Koniec.

*

* *

Manuela Gretkowska "Na linii świata", wyd. Znak litera nova, Kraków 2017, cena 39.90, ja zapłaciłam 21.-

*

* *

Jeśli ktoś jest ciekawy łagodniejszej a zarazem opisującej treść recenzji:

<https://www.youtube.com/watch?v=TnPCSrn85GY>